

Nie wolno upolityczniać historii

Julia Hartwig, poetka, eseistka i tłumaczka, o rozrachunkach z autorytetami i zadaniach twórców kultury

Właśnie ukazała się książka „Podziękowanie za gościnę” podsumowująca pani fascynację Francją. Hemingway powiedział kiedyś: „Jeśliś miał szczęście mieszkać w Paryżu za młodu, to przez resztę życia, gdziekolwiek się udasz, będzie on z tobą, bo Paryż jest świętem ruchomym”. Mogłaby się pani pod tym podpisać?

Julia Hartwig: Te słowa odnoszą się do własnych przeżyć pisarza, do atmosfery Paryża lat 20., miasta, które upodobała sobie amerykańska bohema. Zdanie to jest mi bliskie, Francja miała bowiem ogromny wpływ na mój rozwój kulturalny i duchowy. Paryż towarzyszy mi nie tylko we wspomnieniach i sentymentach, ale przede wszystkim w pracy. Po raz pierwszy przyjechałam tam w 1947 r. i odtąd nieprzerwanie czuję się związana z francuską sztuką i poezją. I choć był w moim życiu czas, gdy zajęłam się poetami amerykańskimi – wydałam wraz z mężem Arturem Międzyrzeckim antologię poezji amerykańskiej – zawsze starałam się nie tracić z oczu tego, co działo się we francuskiej kulturze.

Na stronach pani książki goszczą Herling-Grudziński, Kot Jeleński i Jerzy Giedroyc – ludzie, którzy dla polskiego inteligenta byli niekwestionowanymi autorytetami. Czy ktoś może ich zastąpić?

Te wartości z racji oddalenia od kraju i odrębnej wówczas sytuacji politycznej są nieporównywalne, ale w nauce i w sztuce tu, w Polsce, znajdujemy ludzi i wybitnych, i nieskazitelných. Problem w tym, że ludzie kultury nie zawsze z powagą i poczuciem odpowiedzialności myślą o tym, co w obecnej sytuacji społecznej i politycznej jest ich obowiązkiem. Naszych młodych prozaików zajmuje głównie tak zwany margines społeczny, samo centrum pozostaje wolne, nikogo wydaje się nie interesować codzienne życie inteligencji i jej wybory.

Sięgnęłaby pani po powieść z dziejów III i IV Rzeczypospolitej?

To oczywiste. Podkreślam, że nie mówimy o książce politycznej, ale literaturze sensu stricto. Być może pojawi się ktoś, kto możliwie bezstronnie rozprawi się z tym, co dzieje się wokół nas. Musiałby pokazać, skąd wzięło się to wszystko, co nam się nie podoba, co pragniemy odrzucić.

Ryszard Kapuściński mówił pod koniec życia, że w Polsce doczekaliśmy się pokolenia młodych ludzi, którzy dobrze będą się czuć w każdym miejscu na świecie. Czy pani też ich dostrzega?

Tak, tylko że ten potencjał idzie na marne. Tych ludzi spotykamy na lotniskach. Wyjeżdżają i, prawdopodobnie, już nie wrócą. Mogą obiecywać, że z Polski nie rezygnują, ale gdy człowiek już się za granicą zadomowi, gdy dostanie tam szansę, powrót nie jest łatwy. Bo w Polsce nie otrzyma dziś ani dofinansowania pracy naukowej, ani godziwej zapłaty. Cieszy mnie natomiast, że edukacja komunistyczna właściwie nie zostawiła nieusuwalnych śladów. Młodzi myślą samodzielnie i nie dają się nikomu do niczego zmusić. Najlepszym dowodem, że nie czekają z założonymi rękami Bóg wie na co. Oby swoje ambitne plany mogli realizować na miejscu.

Jak pani ocenia jakość prowadzonej u nas debaty historycznej?

Historia i polityka to dwie odrębne dziedziny. Upolitycznianie historii jest zawsze zgubne. Na szczęście wielu ludzi, także ze środowisk naukowych, decyduje się postępować według reguł obowiązujących wszędzie na świecie. Nie pozwalają zamknąć się w zakłętym kręgu własnej przeszłości. Chcą patrzeć szerzej, należeć do europejskiej rodziny i wykorzystać szansę – możliwość samodzielności.

Czy potrafimy szanować autorytety?

Niedawno ujawniono, co zawierała teczka Kapuścińskiego. Światło dzienne ujrzały raporty niewiele odbiegające treścią od jego dziennikarskiej korespondencji, nie znaleziono nic, co by obciążało sumienie Ryszarda Kapuścińskiego. Wydarzyło się to wkrótce po śmierci reportera, w czasie, gdy cały świat oddaje mu hołd. Za granicą fakt ten wywołał reakcje wynikające z nieznamomości polskich stosunków. Współpraca z wywiadem nie była dowodem słabości Kapuścińskiego, lecz ceną, jaką przyszło mu zapłacić za możliwość pisania. Potępienie w czambuł wszystkich, którzy mieli podobne doświadczenia, jest zbrodnią wobec polskiej kultury.

Dlaczego pani zdaniem tak wielu ludzi z satysfakcją przyjmuje doniesienia na temat kontaktów Kapuścińskiego czy Herberta, któremu – także absurdalnie – zarzucono, że spotykał się z agentami bezpieki?

Brak dziś nam jako społeczeństwu życzliwości i pogłębionej wiedzy o sytuacji Polaka we własnym kraju. I oto tego skutki: odcinamy się, potępiamy, skreślamy. Nasza kultura staje się z tej przyczyny coraz bardziej kaleka. Jeżeli wciąż próbuje się twierdzić, że okres PRL to czas absolutnie stracony, ludzie mają prawo poczuć się skrzywdzeni. Mimo wszystko nie ma we mnie pesymizmu. W przyszłość patrzę z nadzieją. Żałuję tylko, że marnuje się to, co można i trzeba ocalić.